



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Elżbieta Arbaszewska

## Od września do września

Urodziłam się w 1933 roku w małej miejscowości Wyszaków położonej około 50 kilometrów od Warszawy. W tym miasteczku upłynęło mi całe dotychczasowe życie.

Przypominam sobie rodziców, którzy wcześniej nas obumarli. Tata miał sarmackiego i szarmanckiego wąsa, był przystojnym mężczyzną, wymagającym i dość surowym, jednak my – pięć córek – odczuwaliśmy jego o miłość do nas.

Mama była uosobieniem łagodności i zaradności życiowej, Była wysoką, szczupłą brunetką o wnikliwym spojrzeniu. Uczyła nas wielu praktycznych rzeczy, które potem przydały się nam w życiu. Mama była nieustannie zajęta. Sama nas obszywała, gdyż każda z nas chciała mieć coś ładnego: a to ubranko krakowskie, a to sukieneczkę haftowaną. Mama bardzo lubiła robótki ręczne i poświęcała im każdą wolną chwilę.

Nasza rodzina utrzymywała się z 11-hektarowego gospodarstwa, którym zajmował się ojciec, mając do pomocy tzw. chłopaka czyli parobka.

Kiedy byłam małą dziewczynką mama posłała mnie oraz siostry do przedszkola, na ogródki jordanowskie na okres robót polowych, czyli w lipcu i sierpniu. Pewnego dnia podczas zabawy na łące ujrzeliśmy na niebie znaki dziwne ułożone z chmur. Były to: krzyż, trumna i miecz. my, jako dzieci bardzo to przeżyliśmy, a wśród dorosłych powstawały większe i mniejsze grupki i słyszało się, że to na trwogę, że to przyniesie Polsce nieszczęście. Jako dziecko niewiele z tego rozumiałam, a to już w powietrzu wisiała wojna. Pewnego dnia wszyscy starsi ludzie byli bardzo zdenerwowani, bo dostali jakieś karty, a to była mobilizacja i zaczęli zabierać mężczyzn wraz z końmi. Coraz więcej mówiło się o wojnie i o tym jak się przed zagrożeniem bronić.

Podczas wakacji przyjechało do naszego miasteczka kilkunastu żołnierzy na koniach, wieźli na wozie karabin maszynowy i małe działko. Pokazywali ludziom jacy jesteście mocni, było to pod koniec sierpnia. Upłynęło kilka dni. W dniu 1 września w dzień św. Idziego odbywał się w naszym miasteczku odpust. Było dużo straganów, różne kolorowe karuzele, które zapamiętałam będąc dzieckiem. Na uroczystości przyszło dużo ludzi, w tym oczywiście dzieci, dla których była to wielka frajda.

Nieoczekiwanie pokazały się samoloty nad Wyszakowem. Wkrótce zauważyliśmy pierwsze płonące obejścia na obrzeżach miasta. Samoloty wroga zrzucały małe, zapalające się dziurkowane kwadraciki, a że stodoły były kryte słomą – pożary szybko się rozprzestrzeniały i trudno było je ugasić. Był to prawdopodobnie fosfor zrzucony na raz w kilku miejscach w małych arkusikach. Ludzie szybko rozbiegli się z placu kościelnego, aby ratować swój dobytek i swoje domostwa.

Już pierwszego dnia wojny, w jednej chwili staliśmy się nędzarami. Mojej rodzinie spalił się dom i całe obejście z inwentarzem. Wszystko spaliło się nam doszczętnie, zostało to co mieliśmy na sobie. Wkrótce ojciec musiał uciekać w popłochu przed wkraczającymi Niemcami, aby nie dostać się do niewoli. Znalazł się aż we Włodawie, skąd wrócił po miesiącu. Zostaliśmy z mamą na miejscu, chroniąc się w piwnicy. Była to duża piwnica, tak że razem z sąsiadami chroniło się w niej około 30 osób. Ludzka zawieszka była duża. Wydali nas Niemcom, którzy nas zabrali, zapędzili na plac i kazali ludziom kopać groby dla siebie. Jaki tam był zamęt: płacze, jęki, jakże ludzie błagali o litość tych Niemców, po tych ich buciorach całowali, ażeby ich nie zabijali, ale i to nie pomogło i niejeden z życiem się pożegnał. Po nocy pod gołym niebem na drugi dzień pędzili nas czwórkami ulicą 11-go listopada w kierunku wsi Porządzie. Po drodze mijaliśmy starych ludzi, którzy nie mogli wyjść z domów. Niemcy strzelali do nich prosto z ulicy. Wszystkich wybili.

Kto się ociągał lub nie miał siły maszerować, to od razu kulka w głowę, a przyspieszyć się nie dało, bo były przeważnie kobiety z małymi dziećmi, dzieci niosły na rękach, część była uczepona matczynych sukienek. Droga była wyboista i prowadziła przez las. Tak dopędzili nas do wsi, otworzyli stodoły, wpędzali wszystkich do środka. Ci, którzy się nie mieścili i wychodzili na drugą stronę, ginęli od karabinu maszynowego. Tego nie da się wymazać z pamięci. Co tam się działo: piski, jęki, rozpacz, płacz głodnych i wystraszonych dzieci, każdy był zabrany jak stał. Jednak stodoły nie podpálili i nie rozstrzelali nas. Wieczorem gospodarze parowali ziemniaki dla trzody, to wszyscy rzucili się na nie i z tych koryt łapali co się dało, a żołnierze śmieli się tylko swym gardłowym śmiechem. W takim strachu byliśmy parę dni, pamiętam głód i jesienne zimno, ale było trochę łżej, bo żołnierze z pierwszej linii frontu odeszli w głąb kraju, a następnymi nie byli tacy okrutni, tak że mogliśmy powrócić do swoich miejsc zamieszkania.

Nadchodziła pierwsza okupacyjna zima, a z nią kłopoty. Zamieszkaliśmy na zgliszczach, w budynku gospodarczym w bezpośrednim sąsiedztwie posterunku żandarmerii. Nie mieliśmy ciepłej odzieży ani obuwia, bo wszystko poszło z dymem, nie mieliśmy pieniędzy. Aby kupić coś do jedzenia, mama wpadła na pomysł, żeby robić zabawki na choinkę. Całymi dniami kleiliśmy różne cudeńka pod kierunkiem mamy. Takich zabawek dziś nie widać, bo nikomu nie chciałyby się czasu tracić. Za zdobyte pieniądze kupowało się potrzebne rzeczy. Zima była bardzo sroga, duży mróz, śniegi równały się z plotami. My dzieci robiliśmy sobie igloo i świetnie się bawiliśmy, lecz dla dorosłych to była utrada.

Gdy się trochę uspokoiło, zaczęłam chodzić do szkoły. Uczyliśmy się w prywatnych domach, po trzy, cztery klasy i na zmiany w różnych miejscach. Każde dziecko przynosiło na zajęcia wiązkę drewna na opał – tyle, ile uradziło. Właściwy szkolny budynek ocalał, gdyż Niemcy zostawili go dla siebie. Stacjonował tam sztab i żandarmeria. Nowi właściciele wycięli sady i najładniejsze drzewa, które dla nich nie były nic warte.

Poza tym palili wszystkie znalezione polskie książki, całe stosy. My, jako dzieci, biegaliśmy do tych ognisk i jak który Niemiec się zagapił, tośmy je wykradali, ale było to zabronione. Nieraz wciągaliśmy mniej zniszczone książki nocą, kiedy ognisko przygasło. Trwało to kilka dni zanim zniszczyli całą szkolną bibliotekę. Od tamtej pory, przez kilkadziesiąt lat nigdy nie spaliłam żadnej książki. Podobnie jak moi czterej synowie. Na naszych oczach działy się różne rzeczy, ponieważ mieszkaliśmy przez miedzę z boiskiem szkolnym i z budynkiem zajmowanym przez Niemców.

Kiedyś przywieźli z łapanek sporo mężczyzn. Niektórzy próbowali uciec, ale boisko było ogrodzone siatką i drutem kolczastym na szerokość około dwóch metrów. Nikomu nie udało się przedrzeć przez te druty, bo albo się zaplątał albo zawisł na szczycie dostając serię kul.

To było najgorsze z najgorszych sąsiedztwo, za każdym razem, jak zaczynał się jakikolwiek ruch na placu, chowaliśmy się jak myszy do nory i rodzice mocno nas pilnowali. Dodatkowy strach wynikał z faktu, że mama była w ciąży i spodziewała się narodzin piątego dziecka w kwietniu 1940 roku.

W czasie okupacji nasza miejscowość nie była sielankowa i cicha, działy się tu różne rzeczy. Głośno było o napadzie na pociąg, z którego partyzanci przejęli spore sumy pieniędzy. Były także inne napady na pociągi. Próbowano również ataku na budynek żandarmerii, ale to pociągnęło za sobą rozstrzelanie wielu ludzi na terenie żandarmerii tuż pod naszym domem i my jako dzieci niejednokrotnie patrzyliśmy na egzekucje.

Postrachem całego miasta był żandarm powszechnie nazywany „Heńkiem”. Ciągnęło się za nim niezwykle okrucieństwo, wielu Polaków przez Heńka pożegnało się z tym światem. Mówili, że on był z pochodzenia Polakiem i chciał się zasłużyć nowym panom.

Kiedyś jechał pijany na koniu, zaczął przechodzącą kobietę i tak najeżdżał koniem, że ona nie mogła się ruszyć, przylegając do ściany budynku. Posuwając się krok po kroku, weszła do naszego mieszkania, a żandarm wjechał na koniu za nią do domu, wymachując pistoletem. Przeżyliśmy wszyscy chwile grozy. Na szczęście odciągnęli go przechodzący koledzy.

Wydarzeniem, o którym było głośno była kradzież dokumentów z tzw. arbajtcamtu. Dzięki temu przez pewien czas było mniej wysyłek do Niemiec na przymusowe roboty. Nie było spokoju.

Co pewien czas kazali się zbierać na rynku, gdzie okupanci przeprowadzali pokazowe karanie. Widziałam kiedyś, jak powiesili na szubienicach kilku mężczyzn i pilnowali, żeby nikt nie zdjął ciał, aby jak najdłużej zastraszyć jak największą liczbę ludzi.

Podobne wydarzenia nie wpływały dodatnio na dziecięcą psychikę. Każdego dnia walczyliśmy o przeżycie. Mam na myśli przede wszystkim rodziców, ale my dzieci też pomagaliśmy rodzinie.

Obowiązywał system kartkowy. Zamiast cukru sacharyna. Po chleb chodziło się o świcie do piekarni. Aby dostać swój przydział, trzeba było wystać długie godziny, często wracało się bez chleba, bo go zabrakło. Bywało i tak, że silniejsi wypchali z kolejki dziecko. U nas po chleb chodziły przeważnie starsze siostry, ale i mnie się zdarzało. Tych kolejek pilnował gruby, wielki osobnik w okularach z lachą w ręku.

Nie jeden nią oberwał, wszyscy czekali na chleb ze strachem, ale był porządek. Uważali go za potwora, ale przy nim kolejka szła sprawnie. Do dziś go pamiętają moi rówieśnicy jak tą lachą wywijal.

Wiele moich wspomnień wiąże się jednak ze szkołą. Uczyliśmy się tylko podstawowych przedmiotów: polski, rachunki, rysunki. Nie było historii ani geografii, a jak nauczyciel wspomniał coś dodatkowo, czynił to z narażeniem się na wywiezienie do obozu. Nie było podręczników do nauki języka ojczystego, wydawano coś w rodzaju gazetki, utkwiał mi w pamięci tytuł: „Ster”. Młodszy i starsi – uczyliśmy się wszyscy tego samego. Kiedyś tatuś przysłuchiwał się lekcji starszej siostry, za chwilę słyszy drugą uczącą się tego samego, a na koniec trzecią. Zdenerwował się mocno, krzycząc na nas młodsze, że przeszkadzamy starszej Sylwii w nauce. Było sporo zabawnego zamieszania, ale tak się uczyła młodzież za okupacji, tylko siedem klas, kto chciał się dalej uczyć, ten szukał dawnych nauczycieli i w tajemnicy uczęszczał na komplety. Pięciosobowe grupy spotykały się w tajemnicy, za każdym razem w innym miejscu. Z tej formy dokształcania skorzystały starsze moje siostry: Sylwia i Kamila. Byłam trzecia z kolei. Młodsza siostra miała na imię Ania, w kwietniu 1940 roku przyszła na okrutny wówczas świat – najmłodsza Dorotka. Okupacyjna noc trwała i trwała bez końca. W naszych dziecięcych umysłach powstało przekonanie, że tak ma być i że tak zawsze będzie. Codziennosc to łapanie, wywózki znajomych do obozów i na przymusowe roboty. W parku kolejowym założono obóz dla jeńców radzieckich.

Oni byli głodni, błagali o cokolwiek, lecz nie można było zbliżyć się do przemarzniętych i upodlonych ludzi. Innym razem poszła fama, że będą oddawać dzieci Zamojszczyzny. Na stacji pojawiły się tłumy chętne do pomocy dzieciom. Nadjechały wagony towarowe, dzieci były wymęczone i głodne, jednak żadne dziecko nie zostało oddane. Powieźli je dalej – podobno do Niemiec. Byłam także świadkiem pewnego wydarzenia podczas pobytu u cici na wsi. Spałam w ogromnej izbie, nie wiedząc że ukrywa się w niej sołtys współpracujący z okupantem. W środku nocy przyszli ludzie z lasu w maskach, wyciągnęli sołtysa z kryjówki, podprowadzili do szosy i tam wykonali wyrok na nim na naszych oczach.

Partyzanci zrzucili winy na Niemców, a ci z wściekłością szukali wkoło, kto go tak urządził. Takich wydarzeń było coraz więcej.

Mijały lata. Niezależnie od wszystkiego rosłyśmy i próbowałyśmy zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość.

Nadeszły wakacje 1944 roku, miałam wtedy 11 lat.

Coraz częściej starsi ścisiali głos i mówili o różnych wypadkach, gdy nadchodził wieczór. Każdy spoglądał w jednym kierunku, bo było widać łuny pożarów, choć tak daleko, a to była walcząca Warszawa. Dni Powstania – każdy, czy dorosły, czy dziecko przeżywał to bardzo. Ogarniała nas trwoga, ale jakaś radość. Słyszeliśmy odgłosy dział, nocą latały „kukuruźniki” – nieraz z wyłączonymi motorami pojawiały się jak bezgłośnie zjawy.

Przyszedł taki dzień, że przenieśliśmy się na wieś, ponieważ tam było spokojniej, mniej wojska i można było zrobić sobie schrony. Łatwiej zdobywało się żywność. W kręgu rodziny i znajomych żyło się lżej i raźniej, mieliśmy wrażenie, że na wsi jest bezpieczniej. Takich rodzin spotkaliśmy więcej. Trafiliśmy do cichego przysiółka, naprawdę cisza, zieleń, zboża i podobno koniec wojny blisko.

Nikt się nie spodziewał, że tam dopadnie nas front. W pewnym momencie ujraliśmy uciekających żołnierzy niemieckich, którzy przyczaili się blisko nas – za chwilę wystrzały z dział. Wszyscy cywile rzucili się do kopców po kartoflach, lecz tam nie było miejsca dla wszystkich. Rodzice z wujostwem nie zdążyli się ukryć i zostali w stodole. Nagle wujek dostał postrzał, kula rozerwała się na jego nogach, raniąc jednocześnie cicię w czoło, mamę w nogę i lżej tatę. Wujka wyniesiono na zewnątrz, ponieważ obawiano się pożaru. Ciężko ranny wujek prosił nadchodzących żołnierzy rosyjskich, aby poleli ranę wódkę, lecz oni wódkę wypili na jego oczach, nie wykazując żadnego zainteresowania losem rannego. Żył jeszcze kilka godzin, ale nie było dobrej pomocy i zmarł tuż przed zakończeniem działań wojennych na naszym terenie.

Wycofujący się Niemcy rozszabrowali nasze wozy. Przebrani za cywilów biegali w popłochu po zagajniku. Nim odeszli, trafili na kopce, w których się ukrywaliśmy i chcieli nas rozstrzelać, ale zostawili nas, aby ruscy skierowali na nas ogień. Wioska przechodziła z rąk do rąk w krótkim czasie

---

i stąd całe zamieszanie, to z tymi żołnierzami, to z innymi. Wracając, mijaliśmy wielu poległych z obu stron, których nie miał kto pochować.

Tata próbował znaleźć pomoc lekarską dla mamy i cici. W promieniu 20 kilometrów nic nie było. Obie ranne miały gorączkę, dopiero po dwóch dniach zostały należycie opatrzone i powróciły do domu. Okazało się, że mama miała zmiążdżoną piętę pełną odłamków. Wdała się gangrena, po wojnie odjęto mamie nogę i to było bezpośrednią przyczyną utraty życia – mama zmarła rok po wojnie w wieku 36 lat.

Zostałyśmy same z ojcem – 5 córek na 10 hektarach, bez maszyn, pusto w stodole. Już nie było kontyngentu, ale obowiązkowe dostawy i nie nazywali nas rolnikami a kulakami. Wkrótce zmarł także tata.

Najstarsza z nas miała 16 lat. Takie mieliśmy dzieciństwo. Kiedy pisałam te wspomnienia ożyły na nowo dziecinne wspomnienia, z istnienia których nie zdawałam sobie sprawy. Niektóre epizody z trudem układałam w umyśle. zatarło się wiele wydarzeń, z niektórymi miałam kłopoty, aby nadać im właściwe miejsce w chronologii, mam świadomość pewnego chaosu w mojej relacji. Pisanie było jednak zajęciem pożytecznym, bo mogłam przywołać swoich najbliższych – wszyscy z mojej rodziny już odeszli: rodzice, siostry, mąż, syn.

Jestem rencistką, która wiąże ledwo koniec z końcem. Myślę, że tak dziwnie się złożyło, że to co najbardziej tragiczne dla nas wydarzyło się pierwszego i prawie ostatniego dnia wojny – między wrześniem a wrześniem – bo wyzwolenie też przyszło we wrześniu.

Cieszę się, że moje wnuczki i wnukowie mają inne dzieciństwo. Czytając moje wspomnienia pytali: babciu tak było? Było, było! Może i dobrze, że żyją w pewnej nieświadomości, może powinny lepiej uczyć się historii? Mam 65 lat, lubię patrzeć jak rośnie mój prawnuczek i są momenty, że zazdroścę mu dzieciństwa.